

ΟΜΟΟΥΣΙΟΣ, czyli kim byśmy byli bez Nicei?

W czasach głębokiej sekularyzacji palącym problemem staje się kwestia boskości człowieka. Nie ma w tym żadnego paradoksu. Po prostu jest tak, że procesem paralelnym względem sekularyzacji jest nie tylko „odczarowanie” (wedle sławnej tezy Webera), ale również „zaczarowanie” świata, tyle że gdy coś zostaje odczarowane, to czar rzucamy na coś innego.

Dzieje się tak zapewne dlatego, że ludzka natura nie pozwala nam spokojnie żyć, niczemu nie nadając sensu przekraczającego krótkie ziemskie życie. Jeśli więc słabnie, albo zanika wiara w religijne przyczyny i cele istnienia człowieka i świata, to w tym samym czasie umacnia się wiara w transcendentalny wymiar polityki, albo nauki. Marcel Gauchet przekonująco pokazał, jak usakralizowane państwo przejęło w toku dziejów funkcje religii, choć chyba nazbyt pochopnie uznał, iż w najnowszych czasach polityka definitywnie – w każdym razie na demokratycznym Zachodzie – utraciła funkcję konstruowania „centrum symbolicznego”. Na przykład współcześni apostołowie ideologii postępu, oczekujący, że narzędziami politycznymi narzucą ją, jako powszechną i wieczystą wykładnię sensu, mogą służyć za żywy i koronny po temu dowód. Chyba także Max Weber, a potem jeszcze przenikliwi filozofowie nauki, dowodzący względności jej twierdzeń, trochę się pospieszyli, sądząc, iż nauka nie będzie jednak w stanie dostarczyć nikomu pożywki zastępującej religię. To trochę śmieszne, lecz jeśli w czasie nie tak dawnej zarazy uważnie słuchać było płynących zewsząd aktów strzelistych religijnego

uwielbienia nauki, albo obecnie czytać prognozy, wedle których sztuczna inteligencja, już już, wytworzyć ma nowy gatunek człowieka – „homo deus”, to trudno nie nabrać podejrzania, iż więcej zdolności prognozowania mieli owi prymitywni scjentyści z „wieku pary i elektryczności”, którzy – jak choćby taki Ernest Renan – na serio uwierzyli, iż czar, jaki wywiera potęga nauki, może zastąpić postsekularnym ludziom religię, jako źródło sensu.

Przeczytaj również: Cesarz i biskupi – rozmowa z prof. Robertem Wiśniewskim

Rzecz zatem w tym, że wraz z sekularyzacją kwestia boskości człowieka bynajmniej nie zanika, ale przeciwnie – staje właśnie na ostrzu noża. Na gruncie logiki dylemat jest dość prosty: albo prawdziwy Bóg istotnie stał się w toku ludzkich dziejów człowiekiem, by przyjąć najbardziej nikczemny ludzki los – niesprawiedliwe oskarżenie, tortury i haniebną śmierć, a wtedy mógł (jak mówi teraz Leon XIV w Nicei Bityńskiej) „uczynić nas uczestnikami swojej boskiej natury”, albo też (kontynuując wywód papieża) „jeśli Bóg nie stał się człowiekiem, to jakim sposobem my śmiertelni możemy dzielić jego nieśmiertelne życie?” Papież przemilcza fakt, że zawsze pozostaje nam wzniecić prometejską rebelię przeciw Boskiej władzy i nieśmiertelności. W wielkiej światowej literaturze mamy dwie, ciężące nad całą naszą kulturą, figury takich rebeliantów: to Konrad, który w wileńskim więzieniu wyzywa Wszechmocnego na pojedynek na uczucia, aby wyrwać Mu moc uszczęśliwienia prześladowanego narodu, oraz Iwan Karamazow, snujący polityczną legendę o inkwizytorze, czyli o wypędzeniu przez ludzką władzę powracającego Chrystusa, skoro ten potrafił tylko przynieść ludziom ból, zamiast zbawienia. Nietrudno się domyślić, że zrozumienie ścisłego *iunctim* pomiędzy tymi dwiema figurami zawdzięczam Miłoszowi, który pisał, iż gdyby Konrad

dokończył ostatnią frazę swojej więziennej „improwizacji”, a więc mianował Boga moskiewskim carem, stałby się Iwanem, przeklinającym Chrystusa w imię usakralizowanej polityki. Konrad jednak cofa się, czy to jakimiś resztkami własnej duchowej siły, czy to za sprawą łaski, wybląganej przez ludzi modlących się o jego ocalenie. (Nawiasem mówiąc, to Miłoszowi generalnie zawdzięczam zdolność – jak mniemam – rozumiejącego czytania „Dziadów” w wieku dorosłym, bo w moim krakowskim liceum na temat tej lektury naopowiadano mi niegdyś trochę głupstw).

Dlaczego akurat teraz mi te myśli chodzą po głowie? No bo z przejęciem i uwagą słucham tego, co zwłaszcza Leon XIV, ale także patriarcha Bartłomiej, mają do powiedzenia podczas obchodów 1700-lecia Soboru Nicejskiego. Samą ceremonię w Nicei Bityńskiej, tę z 28 listopada 2025 roku, papież scharakteryzował potem dziennikarzom, jako „wspaniałą, prostą i głęboką”. Istotnie, dla chrześcijanina było coś przejmującego, zarówno w tej prostej procesji z Księżą, wzdłuż pomostu wzniesionego ponad plażą i morzem, z którego wyłaniają się fragmenty ruin zatopionej konstantyńskiej bazyliki – ponoć miejsca obrad cesarza z biskupami w roku 325, jak również we wspólnym wyznaniu nicejskiego *Credo* przez Głowę Kościoła i przeróżnych wschodnich patriarchów i archimandrytów, czemu towarzyszył śpiew dwóch mini-chórków (prawdziwych chórów nikt by tu nie dał rady pomieścić), spośród których ten grecki oczywiście pod każdym względem przewyższał ów łaciński. To Bartłomiej posłużył się metaforą, iż na tym miejscu ojcowie soborowi zaświadczyli, że „ziemia została podniesiona do nieba”. Ale jak należało się spodziewać, ten zauważalny (choćby przez media) i wybijający się wątek owej ceremonii, jak i zresztą całej wschodniej wyprawy Leona XIV, dotyczył kwestii jedności wschodniego i zachodniego chrześcijaństwa, czemu w końcu nie sposób się dziwić, skoro nicejskie *Credo* wypowiada – jak się

potem wyraził papież, przemawiając w Konstantynopolu do Ormian – „wspólną wiarę apostolską”. Owo poszukiwanie źródeł apostolskiej wspólnoty zdominowało również papieskie wystąpienia. Ale rozumie się przecież samo przez się, że kluczem do sprawy Nicei nie jest to, **ŻE** objawiła się tam jedność chrześcijaństwa (*nota bene* raczej wymuszona na sposób polityczny – nawoływaniami i groźbami Konstantyna), ale to, **CO** cesarz i ojcowie obwieścili w końcu świata chrześcijańskiemu, jako treść owej jedności. Czyli klarowna i zdecydowana odpowiedź na stawiane przez trzy wieki pytanie: kim był, a raczej kim jest Człowiek, o którym wiadomo, że narodził się w Betlejem, został umęczony pod Ponckim Piłatem, a potem w cudowny sposób powstał z martwych trzeciego dnia? No i tu wracamy do centralnego dylematu boskości człowieka w epoce sekularyzacji.

Przeczytaj również: „Nicea 325. Lex credendi” [TPCT 485]

Analizie znaczenia tej odpowiedzi Leon XIV poświęca sporą część listu apostolskiego „In unitate fidei”, ogłoszonego przed wschodnią wyprawą, w święto Chrystusa Króla. Papież podąża tropem myśli św. Atanazego Wielkiego, największego autorytetu Kościoła, gdy idzie o rozumienie i obronę sensu ustaleń nicejskich i przywołuje jego napisaną na wygnaniu „Pierwszą mowę przeciw arianom”: „Chrystus sam uczynił nas synami dla Ojca i ubóstwił ludzi, stając się człowiekiem. Nie był najpierw człowiekiem, a potem stał się Bogiem, lecz będąc Bogiem, potem stał się człowiekiem, aby to raczej nas uczynić bogami”. Tą prostą logiką następstwa Atanazy uderza w samo sedno herezji ariańskiej: koncept Człowieko-bóstwa (jak potem nazwali to prawosławni Moskale), wedle którego – mówiąc kolokwialnie – człowiek musi szukać jakiegoś własnego pomysłu na przebicie się do nieśmiertelnej boskości, a wzorem i przewodnikiem może być mu Chrystus, który stworzony, tak samo jak każdy człowiek, własną

absolutną doskonałością dobił się do nieba i dzięki temu teraz zasiada po prawicy Ojca. Leon XIV dodaje jeszcze, jakby chciał dobitnie postawić kropkę nad i: „Jest to możliwe tylko wtedy, jeśli Syn jest naprawdę Bogiem: żadna śmiertelna istota nie może bowiem pokonać śmierci i nas zbawić, może to uczynić tylko Bóg”. I dalej pisze papież: „Syn Boży stał się człowiekiem – wyjaśnia św. Atanazy – abyśmy my, ludzie, zostali przebóstwieni (...) Przebóstwienie nie ma nic wspólnego z samoubóstwieniem człowieka. Wręcz przeciwnie, przebóstwienie chroni nas przed pierwotną pokusą, by stać się jak Bóg. Tym, kim Chrystus jest z natury, my stajemy się dzięki łasce”. Leonowa alternatywa to albo przebóstwienie, albo samoubóstwienie człowieka w jego własnych dziełach, takich choćby, jak polityka i nauka. To Dostojewski wierzył głęboko iż prawdziwy dylemat jego czasów sprowadza się do wyboru pomiędzy Bogo-człowieczeństwem i Człowieko-bóstwem, a za nim powtarzali to kolejni prawosławni Moskale: Sołowjow, czy szalony i zabity przez bolszewików Floreński. Ale to nie jest przecież jakaś li tylko rosyjska sprawa; to Miłosz o tym samym napisał swoją najważniejszą książkę – „Ziemie Ulro”, w której w pasję, graniczącą z pogardą, piętnuje wyznawców Człowieko-bóstwa: prometejskich rebeliantów, postępowych czcicieli nauki i państwa, a w szczególności „wielkie ilości chrześcijan, którzy z biciem w bębny, ze sztandarami, pod przewodem swoich teologów, przechodzą i będą przechodzić do obozu Człowieka-boga, nie wiedząc, albo nie pamiętając o drodze odwrotnej, jaką kiedyś przeżył Teodor Dostojewski”. Dlaczego? „Bo chcą być «jak inni», czyli przestać być chrześcijanami”. Tak, tak, to ten sam Miłosz, który z jakichś tajemnych powodów powszechnie jest dziś identyfikowany z tzw. obozem postępu.

Przeglądając na nowo Miłosza, Mickiewicza, Dostojewskiego, słucham i czytam uważnie niemal wszystko, co mówi się dziś i pisze w świecie o 1700-leciu wspólnych obrad cesarza i ojców w Nicei Bityńskiej.

Albowiem mam takie poczucie – patrząc zwłaszcza z głębi epoki sekularyzacji – że w naszym chrześcijańskim i post-chrześcijańskim świecie od tamtego czasu żadne bardziej doniosłe ludzkie zebranie już się chyba nie przydarzyło. Przewrotnie próbuję, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak mógłby wyglądać nasz świat, gdyby skłócenie ojcowie w Nicei nie ulegli politycznej presji Konstantyna i nie przyjęli zgodnie nowatorskiego dla nich i pachnącego pogańską filozofią konceptu „ὁμοούσιος”, czyli współistotności Ojca i Syna, który to koncept, zazwyczaj bezmyślnie, klepiemy do dziś dnia podczas każdej mszy. A wiemy dobrze z historii, że z tą chwaloną teraz przez Leona XIV nicejską jednością nie było wcale tak dobrze. I jak tylko ojcowie uwolnili się od stałej cesarskiej obecności doktrynalna wojna rozszalała się w Kościele z jeszcze większą niżli dotąd furją i trwała ponad pół wieku, aż do Teodozjusza Wielkiego, który dopiero na Soborze Konstantynopolitańskim stłumił ariański opór. Co więcej, wedle najnowszych tez oxfordzkiego historyka prof. Petera Heathera (jego książka wyszła niedawno po polsku w wydawnictwie REBIS) w Nicei „żadna strona nie miała politycznych ani prawnych atutów, które pozwoliłyby jej przeforsować swój pogląd bez pomocy z zewnątrz”. Heather uważa zatem, że „atanazjanie” i „arianie” musieli działać jako polityczne stronnictwa dworskie, bo tylko poprzez skuteczną politykę na dworze cesarskim mogli sobie zapewnić doktrynalne zwycięstwo. Po ludzku tym łatwiej więc sobie wyobrazić taką „alternatywną historię” zebrania w Nicei Bityńskiej, którego efektem mógł być jakiś kompromis, powiedzmy, w duchu wymyślonego przez średniowieczną kabałę Adama Kadmona – wysłannika światła, który przybiera formę pracźłowika, albo jakiejś hybrydy Chrystusa-pośrednika pomiędzy Bogiem i człowiekiem, na co pewnie mógłby przystać nawet Ariusz. I jak mówi teraz w Nicei Leon XIV – w naszych mniemaniach „boskość i człowiek pozostałyby wieczyście rozdzielone”, a Miłosz, Mickiewicz i Dostojewski podpowiadają, iż prometejska rebelia, z wykorzystaniem usakralizowanej nauki i polityki, byłaby jedynym, a na dodatek

skazanym przecież i tak na klęskę, pomysłem na wyrwanie się z zaklętego kręgu bólu i śmierci. Czy tak istotnie mogło się w Nicei zdarzyć? A może było tak, iż zgromadzenie nicejskie roku 325 nie mogło mieć innego niż miało wyniku, bo ów wynik był nieodłączną częścią Bożej Ekonomii Zbawienia?

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum

Przeczytaj również: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej